

The background of the entire image is a close-up, high-angle shot of several bright yellow flowers, likely tulips, with their petals and stamens clearly visible. The lighting is warm, creating a golden-yellow glow. A solid black rectangular box is centered on the page, containing the text in a stylized, yellow, outlined font.

Gaston Leroux

Tajem-
nica
žóhitego
pokoju

Gaston Leroux
TAJEMNICA
ŽOLTEGO POKOJU

Nadzwyczajne przygody reportera
Józefa Rouletabille'a

Gaston Leroux

TAJEMNICA ŻÓŁTEGO POKOJU

przekład anonimowy

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Wydanie według edycji warszawskiej z roku 1939.
Pisownię uwspółcześniono w niewielkim zakresie.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-7950-682-8

Rozdział I

W którym zaczynamy nic nie rozumieć.

Nie bez pewnego wzruszenia rozpoczynam to opowiadanie o nadzwyczajnych przygodach Józefa Rouletabille'a, Do dzisiejszego dnia niemal sprzeciwiał się temu tak bardzo, że wreszcie zwątpiłem, czy kiedykolwiek będę mógł ogłosić jedną z najciekawszych spraw sądowych, jakie się zdarzyły w ciągu ostatnich lat piętnastu. Przypuszczam nawet, że publiczność nigdy nie poznałaby całej prawdy w dziwnej sprawie 'żółtego pokoju', która zrodziła tyle tajemniczych, strasznych i sensacyjnych dramatów, a z którą imię mego przyjaciela jest ściśle związane. Dopiero, gdy przyznano sławnemu profesorowi Stangersonowi wielki krzyż Legii Honorowej, pewien dziennik wieczorny w artykule nikczemnym swą ignorancją, czy też zuchwałą przewrotnością, wznowił straszną sprawę, którą według zapewnień Rouletabille'a sądziliśmy, że zapomniano na zawsze.

Pokój żółty! Któżby nie pamiętał tej sprawy, dla której przelano tyle atramentu przed piętnastu laty? Tak szybko zapomina się w Paryżu.

A jednak w swoim czasie uwaga wszystkich była wytężona w tym kierunku. Cały świat wsłuchany był w ciągu paru miesięcy w tę ciemną zagadkę, najciemniejszą, według mego zdania, jaka kiedykolwiek była postawiona przenikliwości naszej policji i powierzona sumieniu naszych sędziów. Rozwiązania tej szalonej zagadki poszukiwał każdy. Był to rodzaj dra-

matycznego rebusu, nad którego rozwiązaniem wyteęzała swój umysł stara Europa i młoda Ameryka.

Naprawdę – przyznać mi to wolno, bez zarzumałości autorskich, bo tylko powtarzam fakty, na które wyjątkowe dokumenty pozwalają mi rzucić nieco nowego światła – że naprawdę nie wiem, czy można by znaleźć w rzeczywistości lub w imaginacji nawet u autora: ‘Podwójnego zabójstwa przy ulicy Morgue’, nawet w odkryciach Edgara Poe’ego i przebiegłego Conan Doyle’a coś równie tajemniczego jak ta naturalna tajemnica żółtego pokoju.

To, czego nikt nie mógł odkryć, znalazł młody, osiemnastoletni Józef Rouletabille, wówczas nieznan reporter wielkiego dziennika.

Wtedy jednak, gdy sądowi przysięgłych przyniósł klucz dziwnej sprawy, nie wyjawiał jeszcze całej prawdy. Nie ukazał z niej nic ponad to, co było konieczne, aby wytłumaczyć niewytłumaczalne i uniewinnić niewinnego. Przyczyny, które wówczas nakazywały mu milczenie, dziś znikły. Przyjaciel mój powinien więc mówić. Czytelnicy dowiedzą się zatem o wszystkim i bez dalszego rozciągania wstępu, postawię przed ich oczyma zagadkę żółtego pokoju tak, jak ona się ukazała oczom całego świata nazajutrz po dramacie w zamku Glandier.

Dnia 25 października 1892 roku następująca notatka pojawiła się w ostatniej chwili w numerze ‘Tempsa’:

Straszna zbrodnia została spełniona w zamku Glandier, na skraju lasu św. Genowefy, powyżej stacji Epinay-sur-Orge u profesora Stangersona. Tej nocy, podczas gdy profesor pracował w swym laboratorium, usiłowano zabić pannę Stangerson, która znajdowała się w pokoju przyległym do laboratorium. Lekarze nie odpowiadają za życie panny Stangerson.

Proszę sobie wystawić wzruszenie, jakie to wywołało w Paryżu. W owym czasie już cały świat naukowy był nie-

zwykle zainteresowany pracami profesora Stangersona i jego córki. Prace te, pierwsze, jakie były podjęte nad radiografią, miały doprowadzić potem pana i panią Curie do odkrycia radu. Oczekiwano zresztą sensacyjnego referatu, który profesor Stangerson miał wygłosić w Akademii Nauk na temat nowej teorii: 'O rozproszeniu materii' – teoria ta mogła zachwiać w swych podstawach wszelką naukę oficjalną, która od tak dawna opiera się na zasadzie: nic nie ginie i nic się nie stwarza.

Nazajutrz dzienniki poranne były wypełnione opisem dramatu. 'Le 'Matin' między innymi ogłosił artykuł następujący, pt. 'Nadnaturalna zbrodnia'.

Oto jedyne szczegóły – pisze anonimowy sprawozdawca 'Matin'a' – jakie mogliśmy otrzymać o zbrodni w zamku Glandier. Rozpacz, w której jest pogrążony profesor Stangerson, niemożliwość uzyskania jakichkolwiek wskazówek z ust ofiary sprawiają, że wszelkie wywiady nasze i władz sądowych są tak trudne, iż niepodobna w tej chwili powziąć najmniejszego pojęcia o tym, co zaszło w żółtym pokoju, gdzie znaleziono pannę Stangerson w nocnej toalecie, rzeżącą na podłodze.

Mogliśmy zaledwie wypytać ojca Jakuba – jak go nazywają powszechnie we wsi – starego sługę rodziny Stangersonów. Ojciec Jakub wszedł do żółtego pokoju jednocześnie z profesorem. Pokój ten przylega do laboratorium. Laboratorium i żółty pokój znajdują się w jednym pawilonie, położonym w głębi parku, zaledwie o trzysta metrów od zamku.

– Było w pół do pierwszej po północy – opowiada ten stary sługa – znajdowałem się w laboratorium, gdzie pracował jeszcze profesor, kiedy się to stało. Ustawiałem i czyściłem narzędzia cały wieczór i czekałem odejścia profesora, aby udać się na spoczynek. Panna Matylda pracowała z ojcem do północy; kiedy wybiła dwunasta na zegarze laboratoryjnym, powstała, uściśliła pana Stangersona, życząc mu dobrej nocy. Do mnie powiedziała: 'Dobranoc, ojcze Jakubie!' i otworzyła drzwi żółtego pokoju. Słyszeliśmy doskonale, jak zamykała drzwi na klucz i spuszczała zatrzask; nie mogłem się po-

wstrzymać od uśmiechu i powiedziałem do pana: ‘To się panienka zamyka na dwa spusty! Pewnie się boi Zwierzątka Bożego’. Pan mnie nawet nie słuchał, tak był zajęty. Ale szkaradne miauczenie odpowiedziało mi zewnątrz i istotnie rozpoznałem wrzask Zwierzątka Bożego, aż mię ciarki przeszły. ‘Czy jeszcze i tej nocy przeszkodzi nam spać?’ pomyślałem, bo muszę powiedzieć panu, że aż do końca października mieszkam na górze w pawilonie nad żółtym pokojem dlatego tylko, żeby panienka nie pozostawała sama jedna w głębi parku przez całą noc. To już upodobanie panienki, żeby mieszkać samej w pawilonie przez całą letnią porę roku, pewnie się jej ten pawilon weselszy wydaje niż zamek i od czterech lat, odkąd jest zbudowany, sprowadza się tu zawsze z wiosną. A na zimę panienka wraca do zamku, bo w żółtym pokoju nie ma wcale pieca. Zostaliśmy więc sami, pan Stangerson i ja, w pawilonie. Nie robiliśmy żadnego szmeru. Pan był przy swym biurku. Ja siedziałem na krześle i skończywszy moje zajęcie, patrzyłem na niego i myślałem sobie: ‘Co za człowiek! Co za umysł! Co za wiedza!’ Zwracam uwagę na to, żeśmy nie robili żadnego szmeru, bo pewnie dlatego morderca myślał, żeśmy wyszli. I w tej chwili, gdy zegar wydzwonił wpół do pierwszej, rozpaczliwy krzyk dał się słyszeć z żółtego pokoju. To głos panienki wołał: ‘Morderca! Morderca! Na pomoc!’ Potem rozległy się strzały rewolwerowe i słychać było ogromny hałas wywracanych stołów i mebli rzuconych na podłogę jakby w walce i jeszcze jej głos: ‘Morderca! Na pomoc! Ojcz! Ojcz!’

Wyobraża pan, jakeśmy skoczyli obydwaj: profesor i ja, rzucając się do drzwi. Ale, niestety, były zamknięte i to dobrze zamknięte z wewnątrz przez panienkę, jak już powiedziałem, na klucz i za trzask. Próbowaliśmy je wyważyć, ale były mocne. Pan Stangerson był jak szalony i istotnie, było z czego oszaleć, bo słyszeliśmy wciąż pannę Matyldę, jak dusząc się, wołała: ‘Na pomoc! Na pomoc!’ Pan Stangerson dwa razy uderzył silnie we drzwi – i płakał z wściekłości, rozpacz i niemocy.

Wówczas wpadłem na myśl: ‘Morderca wyjdzie przez okno! – zawołałem – biegnę do okna!’ I wybiegiem z pawilonu jak wariat. Niestety okno z żółtego pokoju wychodzi na pole, w ten sposób mur parkowy, który dochodzi do samego pawilonu, przeszkadzał mi dostać się od razu do tego okna i dlatego trzeba było najprzód wyjść z parku. Pędziłem w stronę furtki i po drodze spotkałem Ber-

niera z żoną, odźwiernych, którzy biegli zwołani wystrzałami i naszym krzykiem. W dwóch słowach opowiedziałem im, co się stało; poleciłem odźwiernemu iść natychmiast do pana Stangersona, a jego żonie – za mną, by otworzyć mi furtkę parkową. W pięć minut potem staliśmy przed oknem żółtego pokoju. Księżyc w pełni świecił jasno i dobrze widziałem, że okno było zamknięte. Nie tylko kraty były nienaruszone, ale i okiennice poza kratami były zamknięte tak, jak je zamknąłem sam ostatniego wieczora. Robię to codziennie, pomimo że panienka, która wiedziała, że dziś zmęczony i przeciążony pracą, powiedziała, że sama zamknie. Więc morderca tędy nie przeszedł i nie mógł uciekać tą drogą, ale ja nie mogłem wejść tędy do pokoju!

To całe nieszczęście! Można było stracić głowę! Drzwi pokoju zamknięte na klucz z wewnątrz, okiennice jedyne okna zamknięte także z wewnątrz, a za okiennicami kraty nienaruszone, kraty żelazne, poza które ręki by nie wsunął!... I panienka, co woła ‘Na pomoc!’... Albo raczej – nie, już jej nie słyhać... Już pewnie nieżywa... Ale słyszę jeszcze w głębi pawilonu, jak pan próbuje wyważyć drzwi...

Pobiegliśmy z powrotem do pawilonu. Drzwi się wciąż trzymały jeszcze mimo gwałtownych uderzeń pana Stangersona i Berniera, Na koniec ustąpiły pod szalonym naszym wysiłkiem i wtedy – cóżśmy zobaczyli?

A trzeba wiedzieć, że poza nami odźwierna trzymała lampę laboratoryjną tak silną, że oświecała doskonale cały pokój. I to jeszcze panowie powinni wiedzieć, że żółty pokój jest zupełnie mały. Łóżko żelazne, dosyć szerokie, niewielki stół, nocny stolik, toaleta i dwa krzesła – to całe jego umeblowanie. Więc przy świetle lampy, którą trzymała odźwierna, mogliśmy wszystko zobaczyć jednym rzutem oka. Panienka w nocnej koszuli leżała na podłodze wśród bezładu nie do uwierzenia. Stoły i krzesła były powywracane, co wskazywało, że rozegrała się tu poważna walka. Widocznie wyciągnięto pannę z łóżka, była zakrwawiona, na szyi miała ślady strasznych paznokci. A na prawej skroni ranę, z której ciekła krew, tworząc na podłodze maleńką kałużę. Kiedy pan Stangerson spostrzegł córkę w takim stanie, rzucił się ku niej z okrzykiem rozpaczony, że aż litość brała. Przekonał się jednak, że nieszczęśliwa oddycha jeszcze, więc tylko nią się zajął. My zaś szukaliśmy mordercy, nikczemnika, który chciał

zabić naszą panią i przysięgam panu, że gdybyśmy go znaleźli, sprawilibyśmy mu dobrą łaźnię. Ale jakże wytłumaczyć, że go tam nie było, że już uciekł?... To przechodzi wszelkie wyobrażenie. Nikogo pod łóżkiem, nikogo za sprzętami, nikogo! Jego ślady jedynie znaleźliśmy: znaki zakrwawione szerokiej dłoni męskiej na ścianie i na drzwiach, dużą chustkę czerwoną od krwi, bez żadnych liter, stary beret i świeże znaki na podłodze licznych kroków ludzkich. Człowiek, który tu był, miał wielkie nogi i stopy jego pozostawiały za sobą ślady czarne, jakby sadzy. Którędy przyszedł ten człowiek? Którędy uszedł? Niech pan nie zapomina, że nie ma kominka w żółtym pokoju. Nie mógł ująć przez drzwi, które są bardzo wąskie, na progu których stała odźwierna z lampą, podczas gdy odźwierny i ja szukaliśmy zbrodniarza w tym małym kwadracie pokoju, gdzie niepodobieństwem jest się ukryć i gdzie zresztą nie znaleźliśmy nikogo. Drzwi wyważone i oparte o ścianę nie mogły nikogo ukrywać, jakęś się przekonali o tym. Przez zakratowane okno o zamkniętych okiennicach, których nikt się nie dotknął, żadna ucieczka nie byłaby możliwa. A więc? A więc... zaczynałem już wierzyć w diabła.

Ale oto spostrzegliśmy na podłodze mój rewolwer. Tak, mój własny rewolwer... To, to dopiero powróciło mi poczucie rzeczywistości! Diabeł nie potrzebowałby kraść mego rewolweru, aby nim zabijać panią. Człowiek, który tu był, najprzód musiał być u mnie na górze, wziął mój rewolwer z szuflady i użył go na ten straszny cel. Wówczas to sprawdziliśmy, oglądając naboje, że zbrodniarz dał dwa strzały z rewolweru.

W każdym razie, panie, miałem szczęście, że w tym wypadku pan Stangerson był w swoim laboratorium, gdy się to wszystko działo i że mogłem sprawdzić własnymi oczami, że i ja tam byłem, bo z całą historią tego rewolweru nie wiem, dokąd byśmy zaszli; pewnie byłbym już pod kluczem. Nie trzeba więcej dla sprawiedliwości, aby wysłać człowieka na rusztowanie.

Redaktor 'Matin'a' dodaje do tego interviewu następujące słowa:

Pozwoliliśmy ojcu Jakubowi, nie przerywając mu, opowiedzieć nam po prostu wszystko, co wiedział o zbrodni w żółtym pokoju.

Chcieliśmy o wiele więcej pytać ojca Jakuba – Jakub Ludwik Moustier brzmi całkowite nazwisko starego sługi – ale właśnie wezwano go do sędziego śledczego, który prowadził swe badanie w wielkiej sali zamku. Niepodobna nam było dostać się do zamku Glandier. Całe jego otoczenie strzeżone jest w długim promieniu dookoła przez kilku policjantów, czuwających zazdrośnie nad wszelkimi śladami, które mogą prowadzić do pawilonu i, być może, do odkrycia zbrodniarza.

Chcieliśmy też wypytać odźwiernych, ale są niewidzialni. Wreszcie oczekiwaliśmy w niedalekiej od pałacu oberży wyjścia pana de Marquet, sędziego śledczego z Corbeil. O wpół do szóstej spostrzegliśmy go wychodzącego ze swym pisarzem. Zanim wsiadł do powozu, zdążyliśmy mu zadać następujące pytanie:

– Czy nie mógłby pan, panie de Marquet udzielić nam pewnych informacji w tej sprawie, o ile to nie krepuje pańskiego badania?

– Niepodobna mi – odrzekł pan de Marquet – Powiedzieć o tym cokolwiek bądź pewnego. Jeżeli nie zdołamy nic dodać do materialnych danych, dziś przez prokuratorię zebranych, obawiam się bardzo, że tajemnica otaczająca straszny zamach, którego ofiarą padła panna Stangerson, pozostanie niewyjaśniona; trzeba jednak mieć nadzieję, ‘wierząc w rozum ludzki’, że badanie gruntowne murów, stropu i podłogi żółtego pokoju – badanie, do którego przystąpię zaraz jutro przy pomocy budowniczego, który przed czterema laty wznosił ten pawilon – przekona nas, że nie trzeba nigdy wątpić o logice faktów. Zagadka jest w tym: wiemy którądy wszedł zbrodniarz – wszedł przez drzwi i ukrył się pod łóżkiem, oczekując panny Stangerson – ale którądy wyszedł? Jakże mógł uciec? Jeśli nie znajdziemy ani ukrytego okna, ani sekretnych drzwi, ani skrytki, ani jakiegokolwiek otworu; jeśli badanie murów, a nawet ich rozbiór, bo pan Stangerson i ja jesteśmy zdecydowani posunąć się nawet do rozebrania pawilonu – nie odkryją nam żadnego możliwego przejścia nie tylko dla istoty ludzkiej, ale dla jakiegokolwiek bądź innego stworzenia; jeśli w suficie nie ma otworu, ani podłoga nie skrywa suterenu – trzeba będzie chyba uwierzyć w diabła, jak powiada stary Jakub!

I anonimowy autor tego artykułu, który wybrałem umyślnie, jako najbardziej interesujący ze wszystkich, jakie się

w owym dniu pojawiły o tej sprawie – robi uwagę, że sędzia śledczy zdawał się kłaść pewien nacisk na ostatnim zdaniu: ‘Trzeba będzie chyba uwierzyć w diabła, jak powiada stary Jakub’. Artykuł kończy się tymi słowy:

Chcieliśmy wiedzieć, co rozumie ojciec Jakub przez ‘wrzask Zwierzątka Bożego’. – Tak nazywają złowrogi głos – objaśnił nas właściciel oberży ‘Pod wieżą’ – jaki wydaje niekiedy w nocy kot staruszki, matką Agnieszka powszechnie we wsi zwanej. Matka Agnieszka, to coś w rodzaju świętej, która zamieszkuje małą chatkę w głębi lasu, niedaleko grotty św. Genowefy. Pokój żółty, Zwierzątko Boże, Matka Agnieszka, diabeł, św. Genowefa, ojciec Jakub – otóż i zbrodnia przedziwnie splątana! – którą dopiero uderzenie młota w mury pawilonu rozwikła nam jutro; spodziewajmy się tego przynajmniej, ‘wierząc w rozum ludzki’, jak mówi sędzia śledczy. Tymczasem jednak jest prawdopodobne, że panna Stangerson, która nie przestaje majaczyć i wymawia zaledwie jeden wyraz: ‘Morderca! Morderca!’ – nie przeżyje nocy.

Wreszcie w ostatniej chwili ten sam dziennik donosi, że szef policji telegrafował do swego słynnego agenta Fryderyka Larsana, wysłanego do Londynu w sprawie skradzionych dokumentów, aby niezwłocznie wracał do Paryża.

Rozdział II

W którym po raz pierwszy zjawia się Józef Rouletabille.

Przypominam sobie doskonale, jak gdyby to miało miejsce wczoraj – chwilę, gdy młody Rouletabille wszedł do mego pokoju owego ranka. Ósma zaledwie dochodziła, byłem jeszcze w łóżku, czytając właśnie artykuł ‘Matin’a’ o zbrodni w Glandier.

Ale przede wszystkim należy przedstawić czytelnikom mego przyjaciela.

Znałem Józefa Rouletabille’a, gdy był jeszcze małym reporterkiem. Miał on, jak to mówią, głowę jak piłkę. Była okrągła jak kula i pewnie dlatego koledzy po piórze dali mu ten przydomek, który mu pozostał na zawsze, a który go uświetnił. Rouletabille! Czyś widział Rouletabille’a? Masz go! zawsze ten sakramentalny Rouletabille! – Bywał często czerwony jak pomidor, czasem wesół jak zięba, a niekiedy poważny jak Ojciec Święty. Bardzo młody – miał zaledwie rok siedemnasty, gdy go poznałem – zarabiał już na siebie pracą dziennikarską. Mógł się temu dziwić ktoś nieznający początków jego kariery. W czasie sprawy o morderstwo kobiety pokrajanej w kawałki przy ulicy Oberkampff – historia też jedna z zapomnianych – on to przyniósł do redaktora naczelnego ‘L’Époque’, dziennika rywalizującego wówczas w informacjach z ‘Matin’em’ – lewą nogę, brakującą w koszyku, gdzie odnaleziono żałosne szczątki, tę lewą nogę, której policja daremnie poszukiwała od ośmiu dni, młody Rouletabille odnalazł w ka-

nale, gdzie nikomu nawet na myśl nie przyszło jej szukać. W tym celu musiał przebrać się za kanalizacyjnego robotnika, jakich administracja Paryża wezwała wielu dla naprawy uszkodzeń spowodowanych wyjątkowym wezbraniem Sekwany.

Kiedy redaktor naczelny wszedł w posiadanie tej drogocennej nogi i kiedy zrozumiał wreszcie, jakim łańcuchem sprytnych dedukcji to dziecko przyszło do jej odkrycia, był zdjęty zarówno podziwem dla tej przenikliwości policyjnej w umyśle szesnastoletnim, jak i radością, że będzie mógł wystawić za oknem ‘trupiarni’ swego dziennika ‘lewą nogę’ z ulicy Oberkampff.

– Mając tę nogę – zawołał – dam wspaniały artykuł!

Potem zapytał młodzieńca, jakiego wynagrodzenia by sobie życzył, wchodząc do redakcji w charakterze reportera dla informowania ‘Kroniki policyjnej’.

– Dwieście franków miesięcznie – odrzekł skromnie młodzieniec zdumiony podobną propozycją.

– Otrzyma pan dwieście pięćdziesiąt – powiedział redaktor naczelny – ale mówić pan będzie wszystkim, że należysz do redakcji już od miesiąca, aby było wiadome, że to nie pan odnalazł lewą nogę z ulicy Oberkampff, ale redakcja ‘Epoki’. Tu mój młody przyjacielu jednostka jest niczym; dziennik – wszystkim!

Po czym oznajmił nowemu współpracownikowi, że może się oddalić. Na progu drzwi zatrzymał go jednak i zapytał o nazwisko.

– Józef Józefin! – była odpowiedź,

– To nie żadne nazwisko – odparł redaktor naczelny – ale ponieważ pan się podpisywać nie będzie, to nie ma znaczenia...

Wkrótce młodociany współpracownik znalazł wielu przyjaciół, bo był uczynny i obdarzony doskonałym humorem, którym czarował najbardziej ponurych i rozbrajał najzadrośniej-szych. W kawiarni sądowej, gdzie się zbierali reporterzy kro-

niki wypadków, udając się do prokuratury czy do prefektury w poszukiwaniu codziennych zbrodni, Rouletabille zaczynał już zdobywać sobie reputację odgadującego zagadki i sława ta niezadługo przekroczyła progi gabinetu szefa policji. Kiedy zaś jaka sprawa warta była zachodu i kiedy Rouletabille był wysłany w jej ślady przez redaktora naczelnego, zdarzało mu się nieraz zaszachować detektywów najbardziej już renomowanych.

W tej to właśnie kawiarni zawiązałem z nim bliższą znajomość. Obrońcy w sprawach kryminalnych i dziennikarze nie są bynajmniej nieprzyjaciółmi: jedni potrzebują reklamy, a drudzy – informacji. Rozmawialiśmy trochę i zaraz uczułem wielką sympatię dla tego malca Rouletabille’a. Był to umysł tak rozbudzony i oryginalny! Posiadał nadto pewną własność myśli, jakiej nie spotkałem u nikogo dotąd.

Wkrótce potem pisywałem kronikę sądową do ‘Cri du Boulevard’. Moje wstąpienie do dziennikarstwa zacieśniło tylko więzy przyjaźni między Rouletabille’em i mną. Wreszcie, gdy mój nowy przyjaciel powziął zamiar pisywania małej korespondencji sądowej, którą w ‘Epoce’ polecano mu podpisywać: ‘Business’ – z mojej strony dostarczałem mu nieraz informacji prawnych, których potrzebował.

Tak przeszły blisko dwa lata, a im więcej go poznawałem, tym bardziej go polubiłem, bo pod pozorami wesołego szaleństwa odnalazłem w nim grunt niezwykle poważny jak na wiek jego. Wreszcie, chociaż nawykłem widzieć go zawsze bardzo wesołego, widywałem go nieraz pogrążonego w głębokim smutku. Chciałem wypytać o przyczynę takiej zmiany usposobienia – ale za każdym razem powracał do śmiechu i nie odpowiadał nic. Pewnego dnia zagadnąłem go o rodziców, o których nigdy nie mówił – pożegnał mnie, udając, że nie dosłyszał.

Wśród takich okoliczności zjawiała się słynna sprawa ‘żółtego pokoju’, która nie tylko miała go umieścić w szeregu

pierwszorzędnym reporterów, ale także zrobić zeń pierwszorzędnego ajenta policji śledczej.

Otóż więc rankiem dnia 26 października 1892 roku Rouletabelle był w moim pokoju, był jeszcze czerwieńszy niż za zwyczaj; oczy wychodziły mu niemal, jak to mówią, na wierzch, i zdawał się niezwykle podniecony. Przewracał 'Martin'a' drżącą dłonią. Wreszcie zawołał:

– A więc! mój drogi Sainclairze... Czyś czytał?

– O zbrodni w Glandier?

– Tak, o żółtym pokoju! Cóż ty o tym myślisz?

– Do licha! Myślę, że to diabeł, albo Zwierzątko Boże popełniło zbrodnię.

– Miej rozum.

– A więc powiem ci, że nie wierzę w zbrodniarzy, którzy uciekają przez ściany. Ojciec Jakub, według mnie, popełnił głupstwo, pozostawiając za sobą narzędzie zbrodni, a ponieważ on mieszka ponad pokojem panny Stangerson, badanie architektoniczne, do którego sędzie śledczy przystąpi dzisiaj, da nam z pewnością klucz zagadki; wówczas się dowiemy, przez jakie okno czy drzwi ukryte poczciwiec zdołał się prześlizgnąć, aby niezwłocznie powrócić do laboratorium do pana Stangersona, który nic nie spostrzegł. Cóż więcej ci powiem? To tylko hipoteza!...

Rouletabelle siadł w fotelu, zapalił fajkę, która go nigdy nie opuszczała, palił parę chwil w milczeniu dla uspokojenia chyba gorączki, która go widocznie pożerała, po czym zaczął z politowaniem:

– Młodzieńcze! – rzekł tonem żalostnej ironii, którego wyrazić nie potrafię. – Młodzieńcze!... Jesteś adwokatem i nie wątpię o twych zdolnościach, aby uniewinniać winnych; ale gdybyś był kiedy instruktorem sądowym, jakże łatwo byłoby ci skazywać niewinnych!... Jesteś naprawdę utalentowany!

Po czym palił zawzięcie i znów rozpoczął:

– Nie odnajdą żadnych ukrytych drzwi i tajemnica żółtego pokoju stanie się bardziej jeszcze tajemnicza. Dlatego właśnie mnie zajmuje. Sędzia śledczy ma rację – nigdy nie słyszano dziwniejszej sprawy jak ta zbrodnia...

– Czy masz na myśli jakąś drogę, którą zbrodniarz mógł być uciec? – zapytałem.

– Żadnej – odparł Rouletabille – żadnej w tej chwili... Ale już mam myśl powziętą o rewolwerze, na przykład... Rewolwer nie służył zbrodniarzowi...

– A komuż więc on służył na Boga?!...

– Ależ panie Stangerson...

– Nic nie rozumiem – odparłem – lub raczej nigdy nie rozumiałem...

Rouletabille wzruszył ramionami.

– Nic cię nie uderzyło szczególniejszego w artykule ‘Martin’a’?

– Doprawdy, nic... wszystko, co w nim przytoczono, wydaje mi się jednakowo śmieszne...

– A więc, no... ale drzwi zamknięte na klucz?

– To jedyny szczegół naturalny w opowiadaniu.

– Naprawdę?... A zatrzask?...

– Zatrzask?

– Zatrzask spuszczonej od wewnątrz?... Te ostrożności ze strony panny Stangerson... Panna Stangerson, według mnie, wiedziała, że należy się obawiać kogoś, i przedsięwzięła ostrożności; wzięła nawet rewolwer ojca Jakuba, nie mówiąc mu nic. To, czego się obawiała panna Stangerson, stało się... i ona się broniła, i była walka, i ona zrećźnie skorzystała z rewolweru, aby zranić zbrodniarza w rękę. – Tak wyjaśniam odciśnięcie szerokiej skrwawionej dłoni męskiej na ścianie i drzwiach, dłoni człowieka, który szukał prawie po omacku wyjścia, aby uciec – ale panna Stangerson strzeliła nie dość szybko, aby uniknąć strasznego ciosu, który jej wymierzono w prawą skroń.

– Dziennik o tym nie mówi, a co do mnie – nie sądzę, dlatego, że, zdaje mi się, rewolwer służył panie Stangerson przeciw mordercy. Teraz, jaka była broń zbrodniarza? To uderzenie w skroń zdaje się potwierdzać, że zbrodniarz chciał zabić pannę Stangerson... na próżno usiłując poprzednio ją udusić... Zbrodniarz musiał wiedzieć, że górka jest zamieszкана przez ojca Jakuba i to jedna z przyczyn, myślę, dla których chciał działać ‘cichą bronią’, młotkiem może...

– Wszystko to jeszcze nam nie wyjaśnia – zauważyłem – jak zbrodniarz wyszedł z żółtego pokoju.

– Oczywiście? – odrzekł Rouletabille, powstając – i właśnie, ponieważ to trzeba wyjaśnić, jadę do zamku Glandier i przychodzę po ciebie, abyś mi tam towarzyszył...

– Ja?

– Tak, drogi przyjacielu, potrzebuję cię. ‘Epoka’ zobowiązała mnie wyraźnie w tej sprawie i t bym ją wyjaśnił możliwie najprędzej.

– Ale w czym ja tobie pomóc mogę?...

– Pan Robert Darzac jest w zamku Glandier.

– To prawda... jego rozpacz być musi bez granic!...

– Muszę z nim mówić...

Rouletabille wymówił te słowa tonem, który mnie zastanowił.

– Czyżby?... Czyżbyś się spodziewał czegoś doniosłego z tej strony? – zapytałem.

– Tak.

Więcej nie chciał nic mówić. Przeszedł do salonu, prosząc abym się spieszył z ubieraniem. Znałem Roberta Darzaca od czasu, gdy miałem sposobność oddać mu ważną usługę prawną w procesie cywilnym, wówczas, gdy byłem jeszcze sekretarzem u mecenasa Barbier-Delatoura. Robert Darzac, który wtedy miał lat około czterdziestu, był profesorem fizyki w Sorbonie. Łączyła go serdeczna zażyłość ze Stangersonami, bo po siedmiu latach wytrwałych starań miał wreszcie zostać

mężem panny Stangerson, osoby już w pewnym wieku (musiała mieć lat około trzydziestu pięciu) ale jeszcze zadziwiająco pięknej.

Ubierając się, wołałem do Rouletabille'a, który niecierpliwił się w moim salonie:

– Czy masz jakie pojęcie o stanowisku zbrodniarza?

– Tak – odpowiedział – uważam go, jeśli nie za wielkoświatowca, to przynajmniej za człowieka wyższej sfery... to tylko wrażenie zresztą...

– A cóż ci nasuwa to wrażenie?

– Ależ – odparł młody człowiek – zniszczony beret, pospolita chustka do nosa i ślady ordynarnych butów na podłodze...

– Rozumiem – zauważyłem – nie zostawia się za sobą. Jeśli są wyrazem prawdy.

– Będzie coś z ciebie, mój drogi Sainclairze – zawyrokował Rouletabille.

Rozdział III

Człowiek przeszedł jak cień poprzez okiennice.

W pół godziny Rouletabille i ja byliśmy na dworcu Orleańskim, oczekując odjazdu pociągu, który miał nas odwieźć do Épinay-sur-Orge. Widzieliśmy przybywającą prokuratorię z Corbeil, reprezentowaną przez pana de Marquet, sędziego śledczego i jego pisarza. Pan de Marquet spędził noc w Paryżu ze swym pisarzem, aby móc być obecnym w La Scali na generalnej próbie małej jednoaktówki, której był potajemnie autorem, podpisując się skromnie, jako Castigat Ridendo.

Pan de Marquet zaczynał być poważnym starcem. Zazwyczaj pełen był uprzejmości i galanterii a w ciągu całego życia jedno miał tylko umiłowanie: sztuki dramatycznej. W swym zawodzie sędziego interesował się tylko sprawami zdolnymi mu dostarczyć materiału choćby do jednego aktu.

Sprawa żółtego pokoju tajemniczością swoją musiała zainteresować umysł tak bardzo literacki. Zajęła go nadzwyczajnie i pan de Marquet oddał się jej całkowicie, nie tyle jako urzędnik sądowy chciwy poznania prawdy, ile jako amator gmatwaniny dramatycznej, którego umysł jest wyteżony w kierunku tajemniczej intrygi, i który niczego bardziej się nie lęka jak dojścia do ostatniego aktu, gdzie się wszystko wyjaśnia.

I tak w chwili, gdyśmy go spotkali, posłyszałem, jak mówił do swego pisarza:

– ...Żeby tylko, drogi panie Maleine, żeby tylko ten przedsiębiorca swoim młotem nie zniszczył nam tak pięknej tajemnicy!

– Niech się pan nie obawia – odrzekł pan Maleine – jego młot zniszczy może pawilon, ale nie tknie naszej sprawy. Ostukiwałem mury, badałem sufit i podłogę, a znam się na tym. Nie myślę się. Możemy być spokojni. Nic nie będziemy wiedzieli.

Tak uspokoiwszy swego zwierzchnika, pan Maleine lekkim ruchem głowy wskazał na nas. Twarz sędziego się nachmurzyła, a ponieważ spostrzegł zbliżającego się ku niemu Rouletabille’a, który już unosił kapelusz, pospieszył ku wyjściu, skoczył szybko do pociągu, rzucając półgłosem pisarzowi:

– Nade wszystko bez dziennikarzy!

Pan Maleine odrzekł: – Rozumiem – i zatrzymał Rouletabille’a w jego biegu, usiłując nie dopuścić do przedziału sędziego śledczego.

– Przepraszam panów, ten przedział jest zajęty...

– Jestem dziennikarzem, panie, współpracownikiem ‘Epoki’ – rzekł mój młody przyjaciel z wielkim nakładem grzeczności i ukłonów, i mam parę słów do powiedzenia panu de Marquet.

– Pan de Marquet jest bardzo zajęty śledztwem.

– O, jego śledztwo jest mi zupełnie obojętne, chciej mi pan wierzyć... Nie jestem reporterem od psów rozjechanych, oznajmił młody Rouletabille, którego dolna warga wyrażała w tej chwili bezdenną pogardę dla rubryki ‘wypadków policyjnych’ – Jestem sprawozdawcą teatralnym i ponieważ mam zdać sprawę tego wieczora z przedstawienia w La Scali...

– Proszę, niech pan wejdzie, proszę bardzo... – powiedział pisarz sądowy, kłaniając się.

Rouletabille był już w przedziale. Wszedłem za nim. Siedziałem obok niego; pisarz wskoczył i zatrasnął drzwiczki.

Spis treści

Rozdział I	5
Rozdział II	13
Rozdział III	20
Rozdział IV	31
Rozdział V	35
Rozdział VI	41
Rozdział VII	54
Rozdział VIII	63
Rozdział IX	70
Rozdział X	79
Rozdział XI	88
Rozdział XII	111
Rozdział XIII	117
Rozdział XIV	130
Rozdział XV	138
Rozdział XVI	149
Rozdział XVII	152
Rozdział XVIII	160
Rozdział XIX	163
Rozdział XX	175
Rozdział XXI	180
Rozdział XXII	190
Rozdział XXIII	195
Rozdział XXIV	200
Rozdział XXV	210
Rozdział XXVI	212
Rozdział XXVII	219
Rozdział XXVIII	254
Rozdział XXIX	259